

Andrzej Dobosz: Dnie i noce w mrówkowcu

Dokuczliwe przejawy życia rur i lokalnej społeczności znosi Białoszewski z melancholijną rezygnacją. Raz tylko zmienia ton. Ogląda w Alejach Jerozolimskich burzenie secesyjnej kamienicy, by zwolniło się miejsce pod przyszły Dworzec Centralny – pisał Andrzej Dobosz.

Siedemnastego czerwca 1975 roku 53-letni Miron Białoszewski przeprowadza się z domu na placu Dąbrowskiego na obrzeża Saskiej Kępy, do budowli długiej na ćwierć kilometra, szarej, 10-piętrowej, o ośmiu klatkach schodowych.

Na wypadek popsucia którejś z wind jest jeszcze wąskie XI piętro, żeby jego korytarzem można było dojść do innej klatki. Mieszkanie B (nr 62) było na dziewiątym piętrze. Wydane ostatnio *Chamowo* to dziennik – powieść autobiograficzna, a zarazem niemal studium socjologiczne życia w mrówkowcu. Jedna z przyjaciółek poety, szukając jego nowej siedziby na Lizbońskiej 2, usłyszała w centrum Saskiej Kępy, że to za trasą, na Chamowie, i jeszcze, że jeśli komuś w dzielnicy zginął rower, to na pewno znajdzie się tam właśnie – na Chamowie.

Białoszewski był urzeczony widokami z tej wysokości oglądanymi ze wszystkich stron. Ów korytarz na XI piętrze miał osiem otworów widokowych. Można by tam równocześnie kręcić filmowe sceny

więzienia – zauważają odwiedzające poetę i prowadzane tam zaprzyjaźnione osoby.

Cieszy go też otoczenie. „Wracam do siebie łączką. Wśród topól jest ścieżka. Topól cały rząd, idzie się w zapachach, w cieniu. Jak na wsi. Chodzą tędy z psami, z dziećmi. Widziałem panią w kostiumie kąpielowym. Nas w tym domu dużo. Z sześćset, może z osiemset. I tylko my jesteśmy z Lizbońskiej 2. Lizbońskiej 1 nie ma i nie będzie. Po nieparzystej stronie tyły szkoły”.

W trakcie lektury uległem pokusie zwiedzenia okolicy z książką w ręku. Trafić tam równie trudno jak wtedy. Łączki wyasfaltowano, wyrosły garaże, parking, pawilony – fryzjer damski, oddział banku, Policealna Szkoła Detektywów.

„Mieszkanie nie takie małe. Pokój z wnęką, kuchyneczka, przedpokój i łazienka. Można spacerować od przedpokoju przez pokój do kuchni, bo kuchnia ma wejście z pokoju. Ma i okno”.

Wkrótce dało się odczuć życie rur. Na klatce wieje. Okna nie sposób zamknąć. Po 12 dniach pobytu zepsuł się do reszty rezerwar w łazience. Trzynastego dnia o trzeciej nad ranem sąsiedzi na górze zaczynają rozmawiać: „On głośniej, podpity, podniecał się, przechodził w wymyślanie”. Tak do rana. B. już zasypiał, gdy zaczynały działać radia innych sąsiadów.

Piętnastego dnia w sobotnią noc przyjęcia, imieniny na różnych wysokościach. Na kolejny koniec tygodnia imieniny trwały dwa dni; „imieniny, bo śpiewali sto lat, nawet nie fałszując”.

Uwagi udręczonego bohatera tej opowieści kontrapunktowane są wspaniałą inwencją językową: „Kontakt wmurował znajomy ze sfer techniko-katolickich”. Wybiera się na zakupy, bo nazajutrz „nieczynna sobota”.

Dokuczliwe przejawy życia rur i lokalnej społeczności znosi Białoszewski z melancholijną rezygnacją. Raz tylko zmienia ton. Ogląda w Alejach Jerozolimskich burzenie secesyjnej kamienicy, by zwolniło się miejsce pod przyszły Dworzec Centralny. „Już się zabrali. Jak po nalocie. Bok rozharatany. Pod murem gruzy w stos. Wyżej sterczą żelazne szyny. Jeszcze dużo zostało na ileś bombardowań, na ileś dni powstania”.

Jesienią dookoła domu ustawiane są rusztowania. Stróż pisuje zawiadomienia: „Komu wytłuczono szybę przez wykonawców, którzy wykonują rusztowania, proszę zgłaszać do dozorczy domu”.

Dozorców było dwóch. Każdy zawiadywał czterema klatkami. Będąc z pewnością pierwszym pomocnikiem milicji. Dziś jest tylko jeden gospodarz domu.

Nadeszły jesienne mrozy, pracowników na rusztowaniach nie ma. Nieposiadający lodówki poeta prywatyzuje konstrukcję – kupuje masło, pasztety i trzyma je za oknem. Po paru tygodniach 10 dekagramów pasztetu ginie. Rusztowanie prywatyzują teraz ludzie pracy. Zza okien dochodzą zapachy zup.

W styczniu, gdy na dole leży „podstarzały śnieg”, nowy utwór dozorczy: „Proszę uprzejmie wyrzucać choinki przez okno albo z balkonów na otynkowaną stronę domu”. Wkrótce zostaje zdezwuowany przez administrację osiedla.

Gdy na dworze ziąb, kaloryfery nie grzeją, kiedy zaczną grzać, będą też przeciekać.

Po roku i dwóch tygodniach autor pisze ostatnie dwa zdania: „Chce mi się stąd wyprowadzić. Z tych mrówek”. Traci upodobanie do pisanego utworu. Na szczęście jego wieloletni wydawca nie podzielił tej opinii. Pani Marianna Sokołowska cierpliwie dokonała z maszynopisów i nagrań rekonstrukcji tekstu.

Otrzymaliśmy ciekawą realistyczną opowieść o życiu codziennym schyłku pierwszego okresu rządów „drogiego pana Edwarda”, z portretem niezwykłego twórcy w tle.